

## ARTYKUŁY RECENZYJNE I RECENZJE

**Stanisław Sierpowski**

Poznań

### **Liga Narodów wybranych\***

Pomysł przygotowania i opublikowania pracy zbiorowej poświęconej krytycznemu spojrzeniu na Ligę Narodów z punktu widzenia ziem i obszarów cywilizacyjnie drugo i trzeciorzędnych jest bardzo dobry. Po prostu jednemu autorowi byłoby trudno przedstawić percepcję idei ligowej w odmiennych, nieraz odległych od siebie kręgach kulturowych, takich jak Afryka, Ameryka Łacińska, Bliski Wschód, Rosja/Związek Radziecki, Chiny, Indie i Japonia. Autorzy, w większości pracownicy Instytutu Stosunków Międzynarodowych, działającego w ramach Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, omawiali sytuację w obszarach i państwach o nierównym statusie polityczno-organizacyjnym. Wśród nich są bowiem państwa niepodległe, dominia (w tym dominia będące mandatariuszem LN) i obszary mandatowe. Niemal wszystkie miały też złożoną historię związaną z przynależnością do Ligi. Ją samą chciano widzieć „w krzywym zwierciadle” z uwzględnieniem „silnie zindywidualizowanego przekazu naszych poglądów” — czytamy we wstępie napisanym z polotem przez redaktorów opracowania. Dominować miało krytyczne spojrzenie na LN i odejście od widzenia jej „przez pryzmat szumnych zapowiedzi i szczytnych idei”.

Znakomicie zakreślone pytania badawcze (s. 12/13) okazały się jednak maratonem niemożliwym do ukończenia z zadowalającym wszystkich wynikiem. Nie aspirowano bowiem do odkrywania „nieznanych faktów”, ale dano prymat ujęciu politologicznemu silnie splecionemu z teorią stosunków międzynarodowych. Historyk zauważy, że w książce jest sporo stwierdzeń ogólnych, nieraz podręcznikowych i jakby oczywistych, splecionych wszakże z tendencją popularyzatorską, co widać w niektórych sformułowaniach tytułów i podtytułów. Równolegle mamy też do czynienia z dość zawiłymi wywodami o charakterze socjologicznym i filozoficznym wspartymi takimi określeniami, jak np. reifikacja czy nieobecna w słownikach (aczkolwiek dość zrozumiałą) retroaktywnością (s. 142, 143).

---

\* Uwagi do książki pod powyższym tytułem. Redakcja naukowa Marcin Florian Gawrycki, Agnieszka Bógdał-Brzezińska, Warszawa 2010, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, ss. 223.

Książkę otwiera zwięzły szkic Pawła Borkowskiego, który może zadziwić trafnością doboru kwestii koniecznych do omówienia, aby czytelnik wiedział, z czym się w niej spotka. Wymowny i dobry jest też tytuł: „LN — moralny ideał Zachodu i jego spotkanie z rzeczywistością”. Owa rzeczywistość była bardziej złożona, niż można to było omówić w zwięzłym szkicu (s. 15–28). Trafnie przy tym P. Borkowski pisze, że porażki przypisywane LN raczej należy złożyć na barki mocarstw, które nie podjęły „również same żadnych działań [...] Tak naprawdę nikt nie chciał umierać za Gdańsk, podobnie jak za Nadrenię, Kłajpedę czy Abisynię. Tym samym niepowodzenia Ligi nie są jej własne, lecz pochodne od jej członków” (s. 24). Ta konstatacja umykała często innym autorom, którzy skłonni byli traktować Ligę w roli samodzielnego bytu, nawet jakiegoś specyficznego podmiotu międzynarodowego, zasługującego na krytykę, kpinę, nawet łajanie. Bez końca należy przeto podkreślać, że LN była taką, jakiej chcieli jej członkowie. Nie miała własnej polityki, a jeśli już, to w grę wchodziła wypadkowa kompromisów i niezliczonych kombinacji, zdominowanych przez różne punkty widzenia i sprzeczne aspiracje, wielkich i małych, chociaż ze specjalnym głosem państw w niej najważniejszych, przede wszystkim W. Brytanii i Francji. Inne mocarstwa, stali członkowie Rady LN, nie skrywały specjalnie egoistycznego podejścia do organizacji genewskiej. Żadne też z nich, poza Japonią, nie utworzyło w Genewie stałej delegatury, traktując „swoich” urzędników w Sekretariacie jako czasowo oddelegowanych do pracy w organizacji międzynarodowej, za granicą. Nie kryli się z tym tylko Włosi, chociaż zjawisko było powszechne. Poszczególne rządy nieustannie zresztą zabiegały, wręcz walczyły o wprowadzenie swoich obywateli do Sekretariatu. Przecież nie chodziło tylko o złamanie dominacji w obsadzie personalnej, zgoła monopolu francusko-brytyjskiego.

O frondzie „małych i średnich” można mówić tylko przy okazji Nadzwyczajnego Zgromadzenia z marca 1926 r. zwołanego przez mocarstwa lokarneńskie celem uroczystego wprowadzenia Niemiec do Ligi. Liderem ówczesnego oporu była Brazylia, chociaż należy stonować nazbyt kategorię osąd Marcina F. Gawryckiego w tej sprawie (s. 85). Trzeba przynajmniej wspomnieć o nie mniej stanowczej Hiszpanii oraz Polsce, nieco bardziej ustępliwej, ale też zdecydowanej na walkę o jakąś formę zrównoważenia stałego miejsca Niemiec w Radzie. Mamy na ten temat dobrą faktograficznie książkę Henryka Korczyka.

Tekst poświęcony relacjom między Ameryką Łacińską i Ligą charakteryzuje się dobrą znajomością materii. Trafnie uchwycono istotę wzajemnych relacji, obracających się wokół rywalizacji — tak między państwami, jak i osobami je reprezentującymi (zwykle byli to ambasadorzy z Paryża, Madrytu Londynu, Rzymu). Tej rywalizacji przypisałbym też większe znaczenie w przypadku frondującej Argentyny, pomniejszając znaczenie walki o „pryncypia” (s. 79). Znamienne było to, że Brazylia 17 III 1926 r. na sesji plenarnej Nadzwyczajnego Zgromadzenia nie uzyskała wsparcia żadnego państwa, nawet zaprzyjaźnionego Chile. Także ono uznało, że lepszym wyjściem byłoby zwiększenie do trzech miejsc niestałych z Ameryki Łacińskiej aniżeli jedno stałe dla Brazylii (s. 85). Problem ABC w Ameryce Południowej jest i stary i aktualny... Wskazać też należy zwięzłe, trafne i wolne od przeróżnych „mijanek” (tak modnych w politologii, chociaż historii też) objaśnienie stosunku państw tego regionu do Doktryny Monroego. Nigdy nie było to „porozumienie lokalne”, jak napisano w Pakcie, ale jednostronna deklaracja Stanów Zjednoczonych, na którą przedmioty owej deklaracji nie wyraziły zgody. Wpisanie Doktryny Monroego do art. 21 jako przykładu porozumienia lokalnego było zgodą W. Brytanii i Francji na dominację i kontrolę ze strony Stanów Zjednoczonych. Podzielałam też pogląd, że był to jeden z powodów stosunkowo małego poparcia i niewielkiego prestiżu LN w tej części świata, co ujawniało się absencją w obradach i stosunkowo częstą rezygnacją z członkostwa.

Równie wysoko należy ocenić trzy opracowania dotyczące państw Azjatyckich. Jakkolwiek w pracy tej kolejność poszczególnych opracowań nie odgrywa istotnej roli, to jednak Japonię (rozdz. 8 pióra Piotra R. Kozłowskiego) omówiłbym obok, a nawet przed Chinami (rozdz. 3 Pawła Sokala). Powody są liczne. Przede wszystkim Japonia to jedyny azjatycki współtwórca LN (wcale nie tak mało aktywny, tym mniej pokorny i ustępliwy, kiedy w grę wchodziły własne interesy), stały członek Rady Ligi, bardzo aktywny do 1933 r. w działalności o charakterze rozjemczym, pierwszy z wielkich, który Ligę porzucił. „Małżeństwo z rozsądku” dobrze oddaje aktywność Japonii w kontekście LN i jej głównego celu — zabezpieczenia swoistego przedpoła dyplomatycznego i politycznego, które usprawiedliwiałoby ich operacje wojskowe w Chinach (s. 161). Trzeba zarazem uwypuklić wysoki poziom i klarowność wywodu. Jest to duża wartość, zwłaszcza że towarzyszy temu dobra znajomość Japonii w ogóle, co widać chociażby w obecności imion japońskich polityków występujących zwykle w literaturze (także światowej) tylko z samym nazwiskiem, jak to się dzieje z baronem Makino; wszędzie najpierw jest nazwisko, a potem imię (odmiana ich obu — zgodnie z obowiązującymi w Polsce regułami, jest okropna). Zaskoczony zostałem jednozdaniową opinią, że „japońskim sukcesem własnym było wprowadzenie ogólnej klauzuli rewizyjnej” do Paktu Ligi (s. 155), co wiąże się zwykle ze wspólną inicjatywą anglosaską.

Z wielkim zainteresowaniem czyta się opracowanie Pawła Sokala, który plastycznie przedstawia sytuację Chin, ich wielkie rozczarowanie konferencją pokojową i LN, będące efektem „zorganizowanej hipokryzji” (s. 54). Określenie to przewijające się w całej książce nabiera szczególnej wymowy w przypadku (na ogół marginalizowanych) Chin, gdzie rozbieżność między deklaracjami oraz zasadami widocznymi w Pakcie Ligi a praktyką współżycia międzynarodowego była szczególnie wyraźna. Autor negliguje stworzoną przez samych Amerykanów „autopromocyjną apologetyczną narrację” związaną z narodzinami systemu wersalsko-waszyntońskiego, będącego zresztą kompromisem ze starymi imperiami kolonialnymi. Pisze też, że prezydent Wilson był „zadeklarowanym rasistą”, podobnie jak jego sekretarz stanu Robert Lansing, który mówił o niebezpieczeństwie, jakie idea samostanowienia niesie ze sobą „w umysłach pewnych ras” (s. 62). Nie wydaje mi się, żeby przytoczony przykład był wystarczająco przekonujący.

Trafnie Paweł Sokal podkreśla, że alianccy głosiciele samostanowienia narodów zgodzili się na to, że ma ono dotyczyć narodów podległych wrogim imperiom — Niemiec, Austro-Węgier i Turcji. Rychło zresztą zasada ta ograniczona została do narodów europejskich, co uwypukla ich oszukańczy charakter. Stwierdzenia te nie są nowością, chociaż z różnych względów chętnie bywają przemilczane. Wymowna pozostaje opinia Cziczeryna zawarta w nocie do prezydenta Wilsona z 24 X 1918 r., w której ubolewał, że w amerykańskim programie pokojowym nie ma nic o „wyzwoleniu Irlandii, Egiptu, Indii, ani nawet Filipin i bardzo byśmy żalowali, gdyby te narody nie miały możliwości razem z nami, przez swych swobodnie wybranych przedstawicieli, wzięcia udziału w budowie Związku Narodów” (zob. S. Sierpowski, *Źródła do historii powszechnej okresu międzywojennego*, t. I, Poznań 1989, s. 56; dostępne <[www.wbc.poznan.pl.dlibra](http://www.wbc.poznan.pl.dlibra)>).

Paweł Sokal, dążąc do wykazania „bliskiego pokrewieństwa Ligi Narodów z duchem epoki kolonialnej” (s. 51), z natury rzeczy włącza się do trwającej dziesięciolecia debaty nad rolą i funkcją społeczno-polityczną systemu mandatowego. Dominuje stosunek krytyczny, zgodnie zresztą z generalnym przesłaniem książki o politycznej (*de facto* wszechobecnej) hipokryzji zwycięskich mocarstw. Zauważa się np., że metropolie podzieliły kolonie i obszary zależne państw pokonanych zanim jeszcze system mandatowy został wdrożony, a nawet zanim powstała organizacja, w ramach której ten system miał działać. Justyna Nakonieczna,

skoncentrowana na miejscu Bliskiego Wschodu w polityce mocarstw europejskich (s. 91–103), pokazuje mechanizm „dzielenia skóry na niedźwiedziu”. Nie stroni przy tym od podkreślania rozbieżności między deklaracjami mandatariuszy a oczekiwaniami Arabów. Stroni zaś od włączenia do dyskusji poglądu, że system mandatowy był rozwiązaniem złym, ale lepszym niż klasyczny, „czysty” kolonializm. Stała Komisja Mandatowa LN, analizując i nierzadko krytykując raporty mandatariuszy, była obiektem ich niechęci. Trudno też ignorować usilne, wieloletnie zabiegi rzeczników ochrony mniejszości narodowych o utworzenie w ramach Ligi stałego organu zajmującego się mniejszościami, właśnie na wzór Komisji Mandatowej. Utrącenie jej, zgodnym wysiłkiem tzw. państw mniejszościowych, może *per analogiam* wskazywać na znaczenie Stałej Komisji Mandatowej. Lektura tego interesującego fragmentu książki rodzi wiele pytań dotyczących stopnia samodzielności obszarów najbliższych niepodległości, a więc mandatów typu A (obejmujących ziemie Bliskiego Wschodu), skoro wielu z ówczesnych problemów nie zdołano pozytywnie rozwiązać do dzisiaj. Mandat Palestyński jest tego dobrym, a niejedynym przykładem. Inny z Autorów, Kamil Zajączkowski, wypomina Lidze Narodów — jako wykonawcy systemu mandatowego — słabość i „brak jasnych kryteriów i terminu zakończenia kolonializmu w Afryce” (s. 133). Brzmi to nieco naiwnie w kontekście przytoczonej tuż obok opinii Henry’ego Kissingera z jego *Dyplomacji*, że system ten był równie pomysłowy, co pełen hipokryzji. Odnotowuję też opinię Piotra R. Kozłowskiego, który konstatując negatywy administracji japońskiej na terenach mandatowych Mikronezji, pisze, że Stała Komisja Mandatowa regularnie otrzymywała coroczne „coraz bardziej opasłe tomy danych dotyczących Nan’yo”. Mimo wszystkich obiektywnych i subiektywnych elementów dominacji Japonii i Japończyków na tych obszarach ich obecność „przyniosła ewidentną poprawę bytu materialnego ludności tubylczej, wznosząc podstawową infrastrukturę w sferze transportu, edukacji i zdrowia oraz w większości przypadków szanowała zwyczaje i praktyki religijne tubylców” (s. 164).

System mandatowy w Azji, petryfikując tamtejsze *status quo*, przyczynił się do utrwalenia panowania brytyjskiego w Indiach. Koronnym argumentem brytyjskim uzasadniającym włączenie Indii do Ligi Narodów był udział milionowej rzeszy Indusów w I wojnie światowej. To Brytyjczycy wymogli, aby Pakt Ligi stanowił, że członkiem LN może być „każde państwo, dominium lub kolonia rządzące się samodzielnie”, co było dziwołogiem, bo dwie ostatnie kategorie samodzielne przecież nie były. Chociaż Indie nie dysponowały autonomią w sprawach wewnętrznych (nawet porównywalną z dominiami), nadano im formalnie taki sam status jak państwom suwerennym. Jakub Zajączkowski w opracowaniu pt. *Liga Narodów — indyjska perspektywa* nazywa to anomalią wśród anomalii (s. 114). Rozumie się, że 300 milionów obywateli Indii nie miało praktycznie żadnego wpływu na poczynania swych przedstawicieli w Genewie, którymi najczęściej byli zresztą Brytyjczycy. Zauważona obecność Agi Khana jako Przewodniczącego Konferencji MOP w 1927 r. i przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego dziesięć lat później nie zmieniała istoty rzeczy. Po prostu Liga Narodów z indyjskiego punktu widzenia była instrumentem imperialnej polityki brytyjskiej.

Z pewnymi zastrzeżeniami można to samo powiedzieć o aktywności brytyjskiej i w ogóle mocarstw europejskich w Afryce. Nosilem się kiedyś z zamiarem podjęcia tej tematyki, ale miałem trudności z odpowiedzią na pytanie — o czym miałbym pisać? Związek Południowej Afryki to dominium, które często reprezentowali Brytyjczycy, w tym lord Robert Cecil, Liberia była wprawdzie członkiem założycielem Ligi, ale tylko dlatego, że korzystała ze specjalnego wsparcia Stanów Zjednoczonych. Zresztą kwalifikacje Liberii na członka Ligi były od początku naciągane, zważywszy na to, że amerykańscy Murzyni, zakładając w XIX w. „wolne” (stąd nazwa Liberia) państwo, rychło podporządkowali sobie miejscową ludność

i wprowadzili system oparty na niewolnictwie i wyzysku tubylczych plemion. Jedyne ważne i godne uwagi powszechnie problem — agresja włoska na Abisynię — został przed wieloma laty świetnie omówiony w osobnej książce przez Andrzeja Bartnickiego, autora niestety zapomnianego przez młodszych kolegów wykształconych przecież w „jego” uczelni. Na koniec można byłoby jeszcze słów kilka powiedzieć o Egipcie, który jednak znalazł się wśród członków LN dopiero w 1937 r., kiedy Genewa jako taka odparowywała z różnych stron płynące ciosy, zawinione przez jej najważniejszych członków. Gdzie tu uchwycić podmiotową rolę Afryki, skoro jako całość była ona przedmiotem walki i gry politycznej państw kolonialnych. Lidze — jak zauważa Agnieszka Bógdał-Brzezińska — pozostała rola lansującej „wartości emancypacyjne dawnych kolonii” (s. 197).

W świetle powyższego w tekście Kamila Zajączkowskiego owej Ligi jest niewiele. Wyziera to już z samego tytułu, raczej ekwilibrystycznego. Dominują w nim bowiem dwa człony: 1) „Afryka w okresie międzywojennym” oraz 2) „miejsce i rola Afryki w porządku międzynarodowym”. Liga jest jakby dodana z konieczności. Powód główny to agresja włoska na Abisynię, która członkiem Ligi została w 1923 r. (na s. 131 jest 1925 r., ale to błąd korekty podobnie jak na stronach 20, 93, 114, 157) przy aktywnym udziale Italii, gwałtownie poszukującej rozszerzenia władztwa kolonialnego. W tekście znalazły się opisy i stwierdzenia wymagające, moim zdaniem, bardziej precyzyjnego języka. Odnosi się to głównie do rozumienia roli Ligi jako emanacji państw w niej zasiadających. To nie Liga „grzęzła w sprawie sankcji przeciwko Włochom” i to nie ona nie miała „ochoty na konfrontację z jeszcze jedną potęgą” (s. 139) — bo ani własnej polityki, ani sił adekwatnych do reakcji na włoską agresję nie miała. Niezrozumiale brzmi też wtętu na tejże samej stronie, przy okazji omawiania wstrzeźliwości brytyjskiej wobec agresji włoskiej, że „nie doszło do naruszenia żadnych granic państwowych”. Niezrozumiale jest też stwierdzenie, że w 1932 r. LN „nie dysponowała instrumentem sankcji” (s. 138), który był przecież zapisany w Pakcie Ligi.

Casus Abisynii uznaje Karol Zajączkowski za „poligon doświadczalny dla dyplomacji faszystowskiej, [który — dop. S. S.] pociągnął za sobą skutki dla powszechnego pokoju”. Z natury rzeczy eksponuje rolę Mussoliniego, jako bardzo winnego albo przynajmniej współwinnego ewolucji sytuacji europejskiej i światowej prowadzącej do II wojny światowej. Można przyjąć ten punkt widzenia, z uwzględnieniem wszakże (i zastrzeżeniem) potencjału gospodarczego i militarne go Włoch, ujawnionego nie tylko w Abisynii, ale i później (Hiszpania, Albania, Grecja...). Zmierzch, czy lepiej upadek prestiżu LN dokonywał się niezależnie od agresji na Abisynię i swoistego przyzwolenia „wielkich” na widoczne dla wszystkich „przerzucanie” dziesiątków tysięcy żołnierzy i tysięcy ton sprzętu przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski. Rację ma Autor i wszyscy, którzy problem widzą w proporcjach uchwytnych dla historyków, że ogromny strach przed wojną był obecny nie tylko wśród Francuzów, ale i Brytyjczyków. Tymczasem zachłanność niemiecko-włosko-japońską i dążenie do wybitcia się ponad innych można było zatrzymać tylko siłą. Koncyliacyjno-dyplomatyczno-moralizatorska siła LN nie miała w tej grze niczego do powiedzenia także na terenie Afryki, ponieważ w 1939 r. cały ten kontynent znajdował się pod jakąś formą europejskiego panowania. „Rządy kolonialne uchodziły za zbyt silne, aby ktoś skutecznie mógł im rzucić wyzwania” (s. 130).

Na omawianą książkę składają się także dwa teksty, których zaszeregowanie sprawia pewną trudność. Chodzi przede wszystkim o opracowanie Macieja Rasia o stosunku Związku Radzieckiego do Ligi, w którym pisze się zresztą głównie o polityce międzynarodowej ZSRR. Jeśli przywołać intencje Autorów wyłożone we wstępie, że chcą „pokazać perspektywę dotąd w analizie Ligi Narodów pomijaną” (s. 12), to Związku Radzieckiego do tego grona

zaliczyć nie można. Nie chodzi mi już tylko o prace literatury światowej, w tym radzieckiej i rosyjskiej, ale także opracowania autorów polskich (np. Andrzej Bartnicki, Andrzej M. Brzeziński, Henryk Korczyk, Waldemar Michowicz czy Andrzej Skrzypek). Wspominam o tym nie dlatego, by utyskiwać na nieobecność tych lub owych pozycji bibliograficznych, gdyż ogarnięcie podstawowej, światowej przecież literatury dotyczącej Ligi Narodów jest zadaniem niewykonalnym. Autorów polskich wymieniam głównie dlatego, że w ogóle są nieobecni w książce, a mają w swoim dorobku kilka, a nawet kilkanaście prac dotyczących różnych aspektów funkcjonowania Ligi. Są to jednak głównie monograficzne prace historyczne, których przydatność nie wydawała się niektórym Autorom konieczna. M.in. dlatego, jak to wynika z zamieszczonej po każdej części bibliografii oraz indeksu nazwisk, chętnie sięgano do syntez oraz książek napisanych z polotem, jak na przykład *Czas Aniołów. Tragikomiczna historia Ligi Narodów* Elmera Bendinera, przywoływanego najczęściej. Ów polot, spleciony z ujęciem politologicznym oraz co raz ujawniającą się preponderancją dla uogólnień o charakterze teoretycznym, dostrzegam np. w znakomicie rozpoczętym eseju Agnieszki Bógdał-Brzezińskiej, o nietuzinkowym tytule: „Nieślubna córka świętego Mikołaja. Liga Narodów w krzywym zwierciadle teorii”. Z żalem stwierdzić musiałem, że po kilku stronach tekst ten stracił swój blask w przydługawym, z natury rzeczy powierzchownym wywodzie o doświadczeniach czasów starogreckich, jako żywo przypominających rozwiązania urzeczywistnione w Pakcie Ligi. Wywód ten miał posłużyć do obalenia poglądu „liberalnych idealistów” przekonujących, że LN była nową formą praktyki międzynarodowej (s. 181–184). Dalszych kilka stron poświęcono na przypomnienie pojawiających się w różnych epokach historycznych projektów/planów mówiących o celach zebranych w jedną całość w 1919 r. Dziesięciostronicowy bieg przez dorobek dwóch i pół tysiąca lat jest wyczynem, jednak o nieprzekonującym wyniku.

Rozmach chronologiczny i rzeczowy tekstu A. Bógdał-Brzezińskiej był zapewne przemyślanym zamierzeniem współredaktora książki. Widnieje na jej końcu, „zamiast zakończenia”. W tym przypadku pierwszeństwo teorii (z elementami filozofii i socjologii) nad (mimo wszystko) dominującą w książce *Realpolitik* jest bardzo wyraźne. Nie wszystkie też metafory były dla mnie zrozumiałe i jednoznaczne. Co ma oznaczać zapisane w cudzysłowie „TW Wilson” — czy to dotyczy historii Stanów Zjednoczonych (Thomas Woodrow, a gdzie kropki?), czy raczej współczesnej Polski, bo dalej czytamy, że Wilson był „samozwańczym agentem ligowej idei. Do końca życia nie umiał on pogodzić w sobie trzech życiowych pasji: ortodoksyjnego demokraty, teoretyzującego wykładowcy akademickiego i człowieka o osobowości kaznodziei<sup>1</sup>. Pomimo tej nieznośnej schizofrenii ról społecznych pokazała przecież, iż jest ponadto pojętnym uczniem Machiavella, głosząc pogląd o obronie zagrożonej demokracji za pomocą wszelkich dostępnych środków” (s. 176). A więc także narzucenia, wymuszania swych przekonań siłą, jak to sugerowała League to Enforce Peace w latach I wojny światowej i urzeczywistniały wielokrotnie Stany Zjednoczone przekonane, że Nowy Świat wie najlepiej, jak powinien być urządzony każdy dom na ziemi. Czy zatem trafny jest pogląd odmienny, reprezentowany np. przez Bogusława Winida w książce także firmowanej przez UW w 1996 r. pod tytułem *Pochwała historii powszechnej*, że LN „bez udziału Ameryki okazała się karykaturą szczytnej idei Woodrow Wilsona”? Czy to jest problem godny zainteresowania pracowników naukowych Instytutu Stosunków Międzynarodowych? Sadzę, że LN na pewno byłaby inna, ale czy to ma znaczyć, że byłaby „lepszą”, np. bardziej sku-

<sup>1</sup> Powiązałbym to z bardzo poważnym traktowaniem nakazów wynikających z wychowania w rodzinie prezbiteriańskiego pastora.

teczna? Przedstawiciele USA uczestniczyli w niektórych przedsięwzięciach Ligi, takich jak Konferencja Rozbrojeniowa czy Komisja Leytona. Czy uzyskano dzięki tej aktywności jakieś ekstra efekty?

W trwających niemal wiek cały dyskusjach o siłach sprawczych systemu wersalsko-wazyngtońskiego, z LN w roli specjalnej, reprezentuję pogląd, że LN bez determinacji Wilsona zapewne by nie powstała w kształcie nawet zbliżonym do tej, która mimo wszystko była ważnym etapem cywilizowania świata. Spełniła, jak trafnie pisze Agnieszka Bógdał-Brzezińska „kreatywną funkcję wzmacniania więzi nie tyle między członkami, ile między nią samą a opinią publiczną, której stawiała się rzecznikiem” (s. 197). W omawianej książce, którą w ogólności zaliczam do bardzo udanych i godnych uszanowania inicjatyw o charakterze naukowym, chociaż także popularyzatorskim, wielokroć pojawia się trzeźwe, w pełni realistyczne spojrzenie na politykę międzynarodową jako taką. Nigdy za wiele głosów wskazujących obiektywne mechanizmy owej polityki, w której interes własny zawsze wyprzedza oczekiwania (często pobożne) innych podmiotów, nawet przyjacielskich i sojuszniczych, o sąsiadach nie mówiąc. Wspominaną wyżej *Realpolitik* w przypadku omawianej książki można sprowadzić do przewijającego się na wielu stronicach paradygmatu postkolonialnego. Rozumie się, że okres międzywojenny, widziany przez „krzywe zwierciadło” LN, jest swoistym wstępem do jego eksploracji politologicznej i historycznej w kolejnych dziesięcioleciach, po dni nasze. Zastanawiam się przeto, jak się ma skromny „sztandar” opieki LN w warunkach bardzo wyraźnej dominacji kilku mocarstw europejskich w Afryce czy Azji do rozpostartej szeroko flagi ONZ nad postkolonialnym „trzecim światem”. Ile jest słuszności w tezie Kamila Zajączkowskiego, że wzorce i mechanizmy ekonomiczne, społeczne (i polityczne) stosowane przez metropolie europejskie miały minimalny wpływ na rozwój ekonomiczno-społeczny kontynentu afrykańskiego... (s. 132).

Każda książka, która zachęca i zmusza do zadumy, jest tym bardziej cenna, im bardziej pozwala wpisać naszą (własną) perspektywę w procesy i wydarzenia w skali powszechnej.